

Ambroży Gzegzółka, student rzeszowskiej polonistyki, postanowił wybrać się w podróż do Krakowa. Uznał, że musi odpocząć, że wyjeżdża i że nie wróci przed upływem tygodnia. Wahał się pomiędzy dwoma terminami: andrzejkami i mikołajkami, ostatecznie wybierając andrzejki. Udając się truchtem do McDonald'sa, na lekko strawny obiad (sałatka i latte macchiato), rozważał filozoficznie: „pojadę bądź koleją, bądź autobusem”. Jako ubogi żak zapolował na ofertę last minute, korzystając z ultraszybkiego łącza internetowego swojego współlokatora i raz-dwa został niby-pasażerem kolei. Dwa dni później, jadąc dwudziestkąpiątką, zaczytał się w najnowszym numerze „Uważam Rze”. I, ni stąd, ni zowąd, zauważył, że jest prawie spóźniony na pociąg. Wbiegł na dworzec i zastał imponujący widok. Przeszło roczny remont tej cud-maszyny spowodował, że Ambroży poczuł się super-Europejczykiem. „Chapeau bas!”- pomyślał i udał się na sam przód pociągu. Zachwycony Joyce'em, wzgardził dostojewszczyzną, lecz prędko się znużył i zasnął. Pół spał, pół czuwał, gdy z objęć Morfeusza wyrwał go mniej więcej trzydziestosiedmioipółletni konduktor. Ćwierćinteligent beznamiętnie oznajmił: „podróżni jadący tym pociągiem są obowiązani mieć miejscówki”. Ponieważ miejscówki nie wykupił, musiał zapłacić horrendalną karę. Półzartując, wręczył mu w ramach łapówki przyprószone kurzem książki Chateaubrianda i Rousseau, co nie wzbudziło aplauzu wśród współpasażerów. Ostatecznie, wyłożył pieniądze i postanowił, że nie warto, doprawdy, zajmować się więcej tą sprawą. Na roszczenie PKP stracił ćwierć stypendium, przez co pojawiła się wizja spania w tanim petetekowskim hostelu. Po półgodzinie od tego incydentu, minął Kraków-Płaszów. Nim zdążył zgłodnieć i naszła go ochota na małe co nieco, dotarł już w okolice kościoła Mariackiego, w którym jako dziecko na Wielkanoc podziwiał Grób Pański. Po zwiedzaniu wstąpił do nowo otwartej restauracji, gdzie spożył de volaille'a. Posilony, zadzwonił do narzeczonej, ale w rozmowie przeszkodziła mu głośno mówiąca baba-jaga, która, dzierżąc nibykwiat dziko rosnącej róży, usiłowała zdobyć parę groszy na półlitrowkę. Naprawdę, marzył już o końcu tego dnia. Przypomniawszy sobie, że na pewno nie odwiedził kopca Kościuszki, kościoła Na Skałce i cmentarza Rakowickiego, gdzie rach-ciach wyruszył.